

Polska polityka wschodnia od Tuska do Tuska

WYZNANIA RESETCZYŃCY



Nasza aktywność wobec Rosji i Niemiec na Zachodzie awansowała Polskę do rangi rozgrywającego na Wschodzie.

Jarosław Bratkiewicz*

Allem ponawczytniał z tym resetem z Rosją! Jako „cichy, skromny urzędnik” – jak mnie otaksował Sławomir Cenckiewicz, demonolog patentowany – niechybnie musiałem spisać cyrograf z biesem (prawosławnym), by przymusić Donalda Tuska do spotkań z Władimirem Putinem, a Radosława Sikorskiego do rozmów z Siergiejem Ławrowem. Toć już wtedy Kaczyński, Macierewicz, Cenckiewicz et consortes wywłachali, że miłowymi krokami zbliża się pożoga europejska, kiedy to Putin pójdzie z wojną na Ukrainę, może na Polskę i kraje bałtyckie. Albo i dalej. Pisowscy demonolodzy polityczni kierują się aksjomatem o przedwiecznej nieprawości, którą ucieleśnia Rosja, i podpierają się sądami swych kultowych polityków, jak Piłsudski („Rosja jest zaciekle imperialistyczna”) czy Reagan („imperium zła”). I plwają na to, że sam proces historyczny jako przemienność i rozwój zaprzecza wiekiowości bytów i zjawisk w dziejach.

Zgodzić się zarazem wypada, że niektóre cywilizacje i kraje opierają się zmianom dzięki swemu mechanizmowi homeostazy, który w obliczu wyzwań systemowych przywraca przez kryzysowe przesilenie stary porządek ustrojowy. Dotyczy to zwłaszcza wieloletnich despotów Orientu, ale także Rosji – państw i społeczeństw tradycjonalistycznych. Tyle że pierwsza fala globalizacji, w formie kolonializmu, zachwiała homeostazą pozaeuropejskich skamielin cywilizacyjnych i wymusiła na nich, aby wykaraskały się z najbardziej paraliżujących pułapek tradycjonalizmu.

Z uznania zmienności i niepowtarzalności procesu historycznego wpływała pierwsza zasada polityki zagranicznej RP za rządów PO-PSL: Polska nie

ma odwiecznych wrogów i jest otwarta na przyjazne ułożenie relacji ze swym otoczeniem międzynarodowym. Odnosiło się to także do Rosji, którą oceniała, podobnie klasyfikując też inne kraje sąsiedztwa, pod kątem miarodajności demokratycznej i wiarygodności gospodarczej.

Rzecz jasna, widzieliśmy bezsporne ułomności porządku ustrojowego Rosji i jej polityki w pierwszym dziesięcioleciu XXI wieku. Jednak sprawy te, w wypadku krajów spoza ekumeny zachodniej, postrzegaliśmy procesualnie i porównawczo: jakie tendencje napędzają dziś ruch dziejowy tych krajów, dokąd one zmierzają na tle poprzedniego rozwoju (lub inwolucji)?

Zasadnie można twierdzić, że pierwsza dekada putinowskich rządów przypominała „konstytucyjne samodziśławie” w Rosji lat 1905-14. Kiedy trajektoria ewolucji rosyjskiej najwyżej wzniosła się wedle wskaźników modernizacji, praworządności i rządów przedstawicielskich, choć nie brakowało też nadużyć i przemocy.

Jeżeli przypisujemy priorytetową wagę zasadzie otwartości i aktywizmu w polskiej polityce zagranicznej, to zasadzie tej przeczy – i zdrowemu rozsądkowi bluźni – traktowanie Rosji jako „bezdziejnego przypadku”, zamykanie się przed nią i zamurowywanie jej w bezterminowej kwarantannie. Zresztą znaczyłoby to, że Polska jako członek Unii Europejskiej wierzą wobec unijnej logiki czynnego przeobrażania środowiska międzynarodowego w duchu wartości i celów UE, czemu służą unijna polityka sąsiedztwa i partnerstwa strategiczne.

Jeszcze gorzej, gdyby Polska skrzykiwała przy tym nierosyjskie państwa poradzieckie pod białoczerwone sztandary krucjaty przeciw Rosji, uzasadniając to „doktryną Giedroycia”. Skądinąd tak sprymitywizowany odczyt tej doktryny przez ostatnie dziesięciolecie – wiem to z autopsji – hulał wśród polityków i ekspertów zajmujących się Wschodem.

Ja zaś, „cichy, skromny urzędnik”, przygotowując w 2008 r. i później propozycje działań wobec Rosji, kierowałem się także myślą Juliusza Mieroszewskiego, który utreścił „doktrynę Giedroycia”. Ten najwybitniejszy bodaj myśliciel strategiczny w sprawach wschodnich pisał:

„Rosja, a nie Ameryka jest naszym potężnym sąsiadem, od którego postawy i polityki w znacznej mierze zależy nasze bezpieczeństwo. Nie możemy

Rosji pobić i nie chcemy przed nią kapitulować. Jedynym rozwiązaniem jest tchnąć nową treść w naszą »misję wschodnią« i dążyć do takich przemian w Rosji, które umożliwiłyby nam zapoczątkowanie nowego rozdziału w dziejach polsko-rosyjskich”.

Uzasadniał to historyczną porażką Polski: „W wielowiekowej walce o przywództwo na Wschodzie w sensie terytorialnym zostaliśmy pokonani. W konsekwencji, jeżeli przez »ideę jagiellońską« rozumieć ekspansję terytorialną – wypada obiektywnie stwierdzić, że idea »jagiellońska« stała się anachronizmem” („Tysiąc lat i co dalej?”, „Kultura” nr 7-8/1966).

Druga zasada, którą kierowała się polityka zagraniczna RP, wynikała z członkostwa Polski w UE. Unia prowadzi wspólną politykę zagraniczną wobec bliższego i dalszego sąsiedztwa, toteż niepodobna było nie uwzględnić interesów i racji partnerów unijnych wobec Rosji. Należało działać tak, aby polskie argumenty w sprawie Rosji i całej Europy Wschodniej wnikały w świadomość zachodnioeuropejską dzięki racjonalnemu zdiagnozowaniu spraw przez Polskę i jej rzeczowym poczynaniom dyktowanym dobrą wolą.

Wymagało to aktywizacji polityki wobec Rosji, aby urzeczelić nasze stanowisko sądami o niej podbudowanymi doświadczeniem z bieżących kontaktów i współpracy z Rosjanami, a nie wyimkami z pism markiza de Custine’a.

Trzecią wreszcie zasadę wygenerowała refleksja poniekąd historiozoficzna. Czy Polacy i Rosjanie, dwa największe narody słowiańskie o tysiącletniej historii i wieloletnim funkcjonowaniu własnych państwowości, bezustannie dźwigać muszą brzemień wzajemnej nieprzyjaźni i konfliktów? Upadek imperium sowieckiego i koniec układu dwubiegunowego i zimnej wojny tworzyły, zdawałoby się, aurę podatną na nowy początek w relacjach polsko-rosyjskich. Uznanie, że to człowiek tworzy i zmienia swoje dzieje, niweczyłoby fatalistyczne przykłeki przed tradycją nieprzewidywalnych ponoć antagonizmów oraz ponaglało do łamania tabu „odwiecznej” wrogości.

I świętokradztwo owo się powiodło, skutkując inicjatywami na wielką skalę, jak udział Putina w obchodach 70. rocznicy wybuchu II wojny światowej w Gdańsku czy złożony przezeń wspólnie z premierem Donaldem Tuskiem hołd na grobach katyńskich. Każdy, kto zna rozdrażnienie i opory rosyjskie wobec wydarzeń historycznych o wymowie po-

litycznie kontrowersyjnej, zrozumie, ile rubikonów mentalno-politycznych Rosjanie musieli tu przekroczyć.

Jakich korzyści upatrywała Polska w resecie z Rosją? Abstrahując już od dobrośąsiedzkiej współpracy i korzyści ekonomicznych, poważnie wydzwignęłyby swoją rangę polityczną. Rosja należy do tych nielicznych potęg (może jeszcze poza Niemcami), których elity wykazują elementarne zainteresowanie naszym krajem. Świat anglo- i francuskojęzyczny odnosi się do niego raczej obojętnie.

Partnerska aktywność Polski wobec Rosji i Niemiec – a taką możliwość stworzył Trójkąt Królewiecki, wzmacniając nas w relacjach z Rosją unijnym i atlantyckim światopoglądem RFN – w krajach i instytucjach Zachodu awansowała Polskę do rangi kluczowego podmiotu rozgrywanego na Wschodzie. Który potrafi grać w porozumieniu z innymi partnerami zachodnimi, co się ceni najwyższej w strukturach integracyjnych.

Polskę i Rosję zbliżały też kwestie unowocześnienia państwa, społeczeństwa i gospodarki. Rosjanie chłonęli polskie doświadczenia, do czego walenie przyczyniło się Polsko-Rosyjskie Forum Regionów, któremu z naszej strony współprzewodniczył Bogdan Borusewicz. Ten wymiar współpracy polsko-rosyjskiej miał sprzyjać także wywikłaniu się z matni własnych tradycjonalizmów, które judziły do ustawicznych waśni.

Atoli sprawy potoczyły się opacznie. Proces zbliżenia rosyjsko-polskiego wykoleiły liczne przeciwności. Nade wszystko ze wszczeniem modernizacji Rosji Putinowi musiały się asocjować nadludzki ogrom prac i horrendalne ryzyko polityczne. Zniechęcała go antyreformatorska inercja biurokracji, na której zamierzał się oprzeć w kwestii unowocześnienia, i wyzywająca opozycyjność części elit.

Więdló też, zanim rozkwitło, partnerstwo strategiczne między UE a Rosją dezaktywowane po stronie unijnej półśrodkami w postaci praktycznych, ale politycznie miałkich projektów. – Same nudy – tak w rozmowie ze mną określił przebieg szczytu UE - Rosja w 2013 r. rosyjski wiceszef MSZ Władimir Ti-tow.

Fatalnie na ewolucję stosunków polsko-rosyjskich wpłynęła katastrofa smoleńska. Zwykli Rosjanie w odruchu współczucia pospieszili do ambasady RP w Moskwie z kwiatami i świecami, skądinąd inspirowani pozytywnym przekazem o Polsce w rosyjskich mediach oficjalnych w owym okresie.

Zrazu lirycznie do przejawów rosyjskiej empatii odniósł się Jarosław Kaczyński, publikując 9 maja 2010 r. swoje przesłanie do Rosjan, gdzie powiedział, że „odruch współczucia i sympatii milionów Rosjan został przez Polaków dostrzeżony i doceniony”, i dziękował za „każdą łzę, za każdy zapalony znicz, za każde wzruszające słowo”. Ale w tle już kotłował się pisowski tumult pod hasłem, że konszach-tując z Tuskiem, „Roskie zamordowały Lecha Ka-czyńskiego”.

Smoleńska psychoza pobudziła wiele urojeń psychopolitycznych w PiS-ie. Pisowcy usiłowali wyspiclować w sprawach rutynowych i niewinnych zdradę rządu PO-PSL na rzecz Rosji i przeciw „patriotom”. Ten dorobek ukoronował serial „Reset” au-torstwa Cenckiewicza i Michała Rachonia.

Uwaga pisowskich tropicieli zdrady zogniskowała się m.in. na spotkaniu Tuska i Putina w 2009 r. w Sopocie i Gdańsku, a zwłaszcza na ich rozmowie w cztery oczy na sopockim moło. W patologicznej neuroprzestrzeni pisowskiej rozhułały się spekulacje i szeptanka, co też kuty na cztery nogi czekista Putin mógł kłaść do uszu wnukowi „dziadka z Weh-

rmachtu”. Takim trybem rozniosły się słuchy, że Putin zachęcał Tuska do wspólnego rozbioru Ukrainy.

Dla mnie, „cichego i skromnego urzędnika”, istotne było co innego: że z tej rozmowy nie powstała żadna notatka, nawet najbardziej utajniona. Oznaczało to, że polski premier uznał, iż treści z rozmowy podjętej na moło nie zasługują na to, żeby im nadawać dalszy bieg. W rozmowie tej nie mogli też paść żadne sformułowania i propozycje, które polski rozmówca uznałby za kontrowersyjne, godzące w rację stanu RP lub uwłaczające Polsce – wskazywał na to dalszy przebieg rozmów polsko-rosyjskich, które nadal odbywały się w życzliwej atmosferze.

Klimat pojednania królował na spotkaniu Tuska i Putina w Katyniu i Smoleńsku 7 kwietnia 2010 r., zwłaszcza kiedy obaj premierzy oświadczyli na konferencji prasowej, że nastąpił przełom w stosunkach Polski i Rosji. Można sobie wyobrazić, jaki płacz i zgrzytanie zębów przetoczyły się wtedy przez hufce pisowskie. Ale trzy dni później prezydencki tu-154 niczym kamikadze wysadził w powietrze zaczątki pojednania polsko-rosyjskiego. Jego zaś resztki spopieliliła napalmem pieniactwa i napastliwości „religia smoleńska”, jej miesiecznice i podkomisje.

Jednak czy erupcja „smoleńskiej” antyrosyjskości nie odzwierciedlała zdrowego instynktu pisowców, którzy już wtedy przejrzeni, że po kilku latach Putin rozpęta konflikt na Ukrainie, a potem ruszy zbrojnie na ten kraj? Tyle że te skłcone na opak z logiką przejrzenia rodziło tradycyjne rozumienie historii, w której ponoć od zawsze rozgrywają się te same scenariusze z przypisanymi do nich rolami. Myślenie ahistoryczne bujnie rozplenia komunały o historii i polityce, udeptuje je do odtwarzalności ról dziejowych, do parafialnego ahistoryzmu.

Jeśli więc polityk w młodości opowiadał się za komunizmem, to komuchem pozostanie po wsze czasy, nawet jeśli potem krytyczna samoocena odstręczyła go od komuny. I jego dzieci obnosić będą garb pomiotu komuszego. Aż dziw tedy, że apostoła Pawła nie piętnuje się jako zaprzysięgłe wrogiego chrześcijaństwu Szawła z Tarsu.

Politycy szczebla przywódczego w kraju przechodzącym transformację przymierzają różne wciele-nia adekwatne do wyboru cywilizacyjnego, którego ten kraj dokonuje i który może nieoczekiwanie ulec zmianie w warunkach nierównowagi transformacyjnej. Pierwszą prezydenturę Putin zaczynał jako przywódca stosunkowo liberalny i otwarty na Zachód, ale po dwóch dekadach ucieleśnia najgorsze wzorce sowieckiej autokracji i imperializmu. Lecz kurze mózdzki wmawiają gawiedzi, że sposobił się do tego od dzieciństwa.

Tak jak obmierzyło od zarania po kres ma być obraz Putina w oczach PiS-u, tak też wedle tej samej miary sowieccy propagandyści lepili posagowy wizerunek Lenina. Richard Pipes odnotował, że „oficjalna biografia Lenina (...) była wzorowana na żywocie Chrystusa. Podobnie jak w chrystologii przedstawiała ona protagonistę jako niezmiennego i nie-poddającego się zmianie, a jego los jako przesądzo-ny już w dniu narodzin. Dla oficjalnych biografów Lenina nie do pomyślenia było twierdzenie, że ideologia, którą wyznawał, zmieniła się kiedykolwiek” (przeł. Tadeusz Szafar).

Dokładnie przez tę kalkę pisowcy przerysowują drogę życiową Putina, tyle że jako perypetie antychrysta.

Abstrahując od pisowskiej antychrystologii, przy-rzycimy się wolicie politycznej, którą Putin odmie-nił stanowisko Rosji wobec Zachodu. Na początku 2014 r. protest w Kijowie (Majdan) przeciw dystal-

◀ **Premier Donald Tusk i premier Władimir Putin (wtedy taką sprawował funkcję) spacerują po moło w Sopocie. Putin odwiedził Polskę z okazji obchodów 70. rocznicy wybuchu II wojny światowej (1.09.2009).**

FOT. DAMIAN KRAMSKI
/ AGENCJA WYBORCZA.PL



***Jarosław Bratkiewicz**

• ur. w 1955 r., politolog, były dyplomata. Absolwent MGIMO. Działał w podziemnej „Solidar-ności”. Od 1992 r. w MSZ, w latach 1996-2001 ambasador na Łotwie, 2010-15 – dy-rektor politycz-ny ministerstwa.

sowaniu się prezydenta Janukowycza wobec Unii i jego uzależnieniu od Rosji doprowadził do poważnego przelewu krwi. Interwencyjny przyjazd trzech szefów MSZ z państw Trójkąta Weimarskiego – Fabiusa, Sikorskiego i Steinmeiera – do Kijowa przyczynił się do zawarcia historycznego kompromisu między protestującymi a Janukowyczem, który zakładał m.in. przeprowadzenie jeszcze w tymże 2014 r. nowych wyborów.

Co znamienne, Putin wysłał do Kijowa swego przedstawiciela – ostatniego Mohikanina rosyjskiego liberalizmu, Władimira Łukina – na rokowania wokół kompromisu. Oznaczało to, że Kreml preferuje pokojowe rozwiązanie kryzysu ukraińskiego, co nie wykluczało tego, że w zanadrzu ukrywa inną, siłową opcję.

Charakterystyczne, że Łukin zarzucał osiągniętemu w końcu konsensowi, że nie dopilnowano w nim, jak uzgadniane będzie współdziałanie obu skonfliktowanych stron do czasu wyborów. Prawdą zaś jest, że trwałość takiego kompromisu mogła zapewnić tylko kultura polityczna oparta na wartościach demokracji i na imperatywie przestrzegania umów (pacta sunt servanda). Problem tkwił w tym, że obie strony kijowskiego kompromisu były w prostej linii wychowankami kultury sowieckiej: wyra-chowania, wykrętów, upupiania rywali, gdy trzeba – mordowania. I nią się kierowały.

Tego samego dnia, 21 lutego 2014 r., kiedy podpisano porozumienie, Janukowycz czmychnął z Kijowa. Sam pamiętam, że kiedy wieczorem delegacja polska odjeżdżała z centrum miasta na lotnisko, urząd prezydenta Ukrainy był zaciemniony i wyglądał na wyludniony. Ta ucieczka nadszarpnęła kompromis kijowski, uruchamiając efekt domina – przejmowanie władzy centralnej przez opozycję z Majdanu.

Kompromis kijowski w dwa-trzy dni po podpisaniu stał się świstkiem papieru. Diametralnie się różnił od kompromisu okrągłostołowego w Polsce. I tym samym przekreślił wysiłek pojednawczy trójki ministrów weimarskich.

Spontaniczne zagarnianie przez majdanową opozycję władzy państwowej pod siebie, bez czekania na uzgodnione przedterminowe wybory prezydenckie, odplaciło się skutkami katastrofalnymi. Nade wszystko historyczną i agresywną reakcją Moskwy. Putin, wysyłając Łukina do Kijowa, uważał, że daje dowód gotowości współudziału w historycznym kompromisie. A w ostatecznym rozrachunku wrogi mu Majdan przejął pełnię władzy na Ukrainie.

Wychodziło na to, że wyrzutowany przez trójkę zachodnich ministrów kompromis wymościł drogę opozycjonistom do „zamachu stanu”, jak uznał Putin, jego zaś zrobiono w trąbę. Żaden samodzielnica rosyjski nie mógłby nie zareagować siarczyscie na takie pohańbienie.

I Putin odwinął się, anektując Krym oraz wszczynając antyukraińską rebelię na wschodniej, rosyjskojęzycznej Ukrainie. Tym samym ostatecznie zerwał z wcześniejszym kursem na budowanie partnerstwa strategicznego z Unią.

Bilans kolejnych lat po 2014 r. w relacjach Zachodu i Rosji musi alarmować. Rosja ujednoliciła się jako rewanżystowskie i agresywne, wrogie odtąd Zachodowi mocarstwo, które fraternizuje się z potęgami antyzachodnimi (ChRL, Iran) i państwami „chuligańskimi” (KRLD).

Na Zachodzie ludzono się, że Putin jest schorowany i niebawem umrze, że obali go spisek dworski albo zmiecie ruchawka wewnętrzzyjska. Daremnie. Holubiona na Zachodzie idea, żeby przyciągnąć Rosję jako sojusznika cywilizacyjnego – mimo eura-zjatyckich odrębności, spaliła na panewce w następstwie kijowskiego gambitu z lutego 2014 r.

Kreml zaniechał oporu przeciw pelzającemu wnikanu Chin – gospodarczemu, demograficznemu, politycznemu – do Rosji, i obecnie, w odpowiedzi na „upokorzenie” ukraińskie ze strony Zachodu, gorliwie krząta się niczym kulis wokół lektyki chińskiej supremacji. Tow. Stalin, który onego czasu pokazał Mao Zedongowi jego miejsce w szeregu, zapewne przewraca się w grobie.

Ale może Donald Trump poda pomocną dłoń Rosji putinowskiej i wyciągnie ją z chińskiej jamy dłużniczej? Tyle że będzie to Rosja „taka, jaka jest”: szpetna i odstręczająca. I z marszu gotowa puścić się w wir przeobrażeń, które zaordynuje Trump, zwolawszy anty-Europe: Marinę Le Pen, Nigela Farage’a, Giorgię Meloni, Viktora Orbána i wpatrzonego w trumpowską Amerykę Jarosława Kaczyńskiego. A to być może gwóźdź trumienny dla cywilizacji zachodniej, jaką znamy: wolnej, demokratycznej i przedsiębiorczej. ●

Rozmowa Tuska i Putina w 2009 r. na sopockim moło w patologicznej neuroprzestrzeni pisowskiej rozbudziła spekulacje: co też kuty na cztery nogi czekista Putin mógł kłaść do uszu wnukowi „dziadka z Wehrmachtu”?